ROZMAITOŚCI.

Dnia 19 września, N.er 38. roku 1846.

Szczególne małżeństwo.

(Dokończenie.)

VI.

Wuj Giraud wziął w teatrze lożę otwartą i widoczną, żeby jego wnuczkę wszyscy widzieć mogli.

Gdy Kamilla pierwszy raz na scenę i publiczność spojrzała, uczuła jakieś ściśnienie serca, i mogłoż być inaczéj? Szesnastoletnia na wsi wychowana dziewczyna, pierwszy raz do stolicy rozkoszy i zabaw przeniesiona, musiała wierzyć, że się jéj marzy. — Dawano właśnie balet; Kamilla przypatrywała się ciekawie postawom, poruszeniom i krokom baletników; pojęła, że to była pantomima, a rozumiejąc się na tém, chciała znaczenie całości poznać. Co chwila zwracała się do wuja zdziwiona, jakgdyby wzywając wytłumaczenia, ale on mniéj jeszcze rozumiał. Widziała pastérzy podających kwiaty pastérkom, kupidynków w powietrzu latających. bożków w obłokach siedzących — dekoracyje, światło lampionów, których jasność ją bawiła, ubiory dam, hafty, pióra, cała ta wystawa wprawiała ją w słodkie zadumienie.

Z swojéj strony stała się sama przedmiotem powszechnéj ciekawości. Jéj ubior był pojedyńczy, ale bardzo smakowny, jednakże w wielkiéj loży, przy boku tak dziwnie ubranego mężczyzny, jak pan Giraud, piękna jak gwiazda, a świéża jak róża, przy swojém naiwném zachowaniu się, musiała spojrzenia wszystkich zciągnąć na siebie. Mężczyzni zaczęli ją sobie wskazywać, damy uważać; najpochlebniejsze grzeczności wymawiano głośno, ale nieszczęściem tylko wuj Giraud sam je słyszał z upodobaniem.

Jednym razem Kamilla wpadła w swój zwyczajny humor, potém opanował ją smutek. Czuła okropność przeznaczenia, znajdując się w tłumie ludzi odosobnioną, wszystko co widziała, zwracało jéj uwagę na siebie samę. Każdy zdawał się mówić do niéj: »My mówimy, słyszymy, bawimy się, spiéwamy, kochamy i używamy wszystkiego; ty sama nie mówisz, nic nie używasz, nie słyszysz, jesteś tylko posągiem, wyobrażeniem żyjącéj istoty.

Przypomniała sobie bal, na którym się z matką swoją znajdywała; jéj myśli przeniosły ją w dom ojcowski; przywoływała sobie w pamięć lata dziecinne, łzy potajemne, śmierć matki, na ostatek suknią żałobną; temi myślami zajęta, nie mogła się od łez wstrzymać. Dała znak wujowi, że chce odejść, ale on tego nie pojął, wstała więc i pokazała mu drzwi loży, i żeby jéj płaszczyk podał.

W téj chwili spostrzegła na galeryi pod lożą, młodego, bardzo bogato ubranego mężczyznę, który trzymał tabliczkę w ręce i na niéj krédą litery i figury kréślił. Poczém pokazał tę tabliczkę starszemu sąsiadowi; ten zdawał się go rozumieć, i odpowiedział mu prędko tymże samym sposobem. Obadwa w tymże czasie wskazywali sobie jakieś znaki, składając i otwiérając palce, co im, jak się zdawało, służyło do tego, ażeby sobie myśli swoich udzielać mogli.

Kamilla nie rozumiała nic z tych znaków, ale w pierwszéj już chwili spostrzegła, że ten młodzieniec ustami nie ru-

szał. Już miała wychodzić, ale została.— Widziała, że on miał jakiś odmienny sposób wyrażania się, bez pomocy ust; najmocniéj zdziwiona, pragnąc go dłużéj uważać, wróciła znowu na dawne miejsce, wychyliła się z loży, przypatrując się, co nieznajomy czynił. — Widząc go powtórnie piszącego na tabliczce, i podającego ją sąsiadowi, nachyliła się mimowolnie, jakgdyby ją pochwycić chciała. To zwróciło uwagę młodzieńca, obrócił się i spostrzegł z swojéj strony Kamillę. Zaledwie się ich oczy spotkały, już się nie rozstały; z początku byli oboje nieruchomi, jakgdyby się starali poznać wzajemnie, ale to nie trwało długo, poznali się i mówili do siebie spojrzeniem: »Oboje jesteśmy niemi!«

Wuj Giraud przyniósł swojéj wnuczce płaszczyk, ale ona już odejść nie chciała.

Właśnie w tym czasie *l'abbé* de l'Epée zaczął się wsławiać. Odwidzając pewną damę w ulicy *des Fossés Saint Victor,* ujrzał on dwie głuchonieme dziewczęta, które zatrudnione szyciem, przez migi się rozmawiały; to go nawiodło na pomysł do ułożenia systemu mowy na oko w odpowiedny sposób mowie na słuch. Jego ludzkością zajęta dusza cuda zdziałała. — W niedokładnéj pantomimie tych biédnych wzgardzonych istot, znalazł zarody obfitéj mowy. Nauczał głuchoniemych czytać i pisać, i znowu ich w rzędzie ludzi umieścił. Sam, bez obcéj pomocy, własną swoją siłą, stworzył sobie familiję z tych nieszczęśliwych, i temu celowi życie swoje i majątek poświęcił.

Młodzieniec siedzący pod lożą Kamilli, był jednym z uczniów abbego de l'Epée; z starożytnéj familii, z żywém pojęciem, ale na pół umarły, jak się wtedy wyrażano. Pomimo nauk abbego, przydano mu guwernera, który mu wszędzie towarzyszył, czuwał nad nim i myślami jego kierował; byłto ów sąsiad, który z tabliczki czytał. Młodzieniec korzystał z codziennych nauk, które umysł jego wykształcały. Nie wiedział on nic o cierpieniach, jakie spotkać go mogły, gdyby się był w niższym stanie, albo jak Kamilla w oddaleniu od Paryża urodził. — Jak tylko już zgłoski składać zaczynał, piérwszą rzeczą, jakiéj go nauczono, było nazwisko jego ojca, margrabiego de Maubray; wiedział zatém, że się od innych ludzi, wyższém urodzeniem, a razem błędem natury rozróżnia. Tym sposobem duma i pokora zajmowały wspólnie jego szlachetny umysł.

Tego głuchoniemego margrabię, który się często z swoim guwernerem, w trzewikach z czerwonémi abcasami, jak było wówczas w modzie, po parkietowanéj posadzce Wersalu przechadzał, wiele dam pięknych lorynetowało; ale on nie spuszczał oka z Kamilli, która z swéj strony uważała go dobrze, chociaż niby nie patrzyła na niego.— Po skończonéj operze, podawszy rękę panu Giraud, nieśmiąc się obejrzéć, wróciła zamyślona do swojego pomieszkania.

VII.

Ani Kamilla ani wuj Giraud, nie znali nawet z nazwiska abbego de l'Epée; tém mniéj przeczuwali, ażeby była jakaś nowa nauka, którab niemych rozmawiać nauczała. — Pan des Arcis mógł wiedzieć o tém, i żona jego, gdyby żyła, dowiedziałaby się była pewnie, ale włość Chardonneux odległą była od Paryża, a pan des Arcis nie miéwał gazet, albo chociaż je miał kiedy, nie czytał.

Kamilla wróciwszy do domu, miała tylko myśl jednę; co tylko jéj gesta i spojrzenia wyrazić mogły, wszystkiego używała, aby dać poznać panu Giraud, iż pragnie tabliczki i rylca. Pan Giraud, domyśliwszy się jéj żądania nie bez trudności, chociaż już był czas do wieczerzy, pobiegł do swojego pokoju, i wyniósł swojéj wnuczce małą drewnianą tablicę i kawałek krédy.

Kamilla uradowana, położyła tablicę na kolanach, posadziła obok siebie wuja, dała mu krédę, i wodziła ją po tablicy, czekając niespokojnym wzrokiem jego poruszeń.

Wuj zrozumiał, że go prosi, aby co napisał, ale co? tego nie wiedział. — »Czy imię twojéj matki, czy twoje imię? czy moje?« Ażeby się zrozumialszym uczynić,

dotknął się palcem serca młodéj dziewczyny; natychmiast kiwnęła głową. Zacny człowiek rozumiał że odgadł, i napisał wielkiémi głoskami imię: Kamilla. Uczyniwszy to, uradowany usiadł do stołu, nie czekając na swoję wnuczkę, która nie chciała mu tym razem towarzyszyć.

Kamilla, która dawniéj nigdy nie odchodziła przed skończeniem wieczerzy, patrzyła czas niejaki na jedzącego, a potém dawszy mu znakiem życzenie dobréj nocy, odeszła z tablicą w ręku do swojego pokoju.

Spuściwszy u drzwi zamek, zaczęła pisać. Z największą gorliwością i staraniem malowała słowo przez wuja napisane, i zapisała cały stół stojący w środku. Po długich usiłowaniach i częstém przemazywaniu, udało się jéj nakoniec naśladować dokładnie figury, które miała przed oczami, a przekonawszy się o zupełném podobieństwie, chodziła z bijącém sercem wokoło stołu, ciesząc się z swojego zwycięztwa. Słowo »Kamilla« podług jéj zdania, musiało najpiękniejsze rzeczy wyrażać, ani się domyślała, że to jest jéj imię.

Działo się to w czerwcu, powietrze było czyste i noc pogodna. Kamilla otworzyła okno, i przez chwilę przypatrywała się najsmutniejszemu widokowi, jaki ztąd miéć mogła; okno bowiem wychodziło na wązkie podwórze długiego domu; do tego wilgotnego i niezdrowego miejsca, nigdy promienie słońca nie dochodziły, bo wysokość domów nie przepuszczała światła po obu stronach; cztéry lub pięć powozów stało pod dachem, inne zaś dla braku miejsca, zostawiono w podwórzu. Kamilla miała już odstąpić od okna, gdy wtém zdało się jéj, że spostrzegła w cieniu wielkiéj karéty, postać człowieka w bogatych sukniach, przechodzącego się zwolna. Przestrach ją ogarnął, nie wiedząc dla czego, bo wuj był w blizkości. Ztémwszystkiém człowiek ten był tu, a Kamilla go widziała. Chodził poza karétę, i spoglądał ku oknu. Po chwili, nabrawszy odwagi, wzięła świécę, wystawiła za okno i oświetliła podwórze. Cień karéty zniknął, a margrabia de Maubray — gdyż to był on, ujrzał się odkrytym. Zamiast odpowiedzi, przykląkł, złożył ręce i patrzył na Kamillę w postawie najgłębszego uszanowania.

Tak zostawali przez kilka chwil, Kamilla za oknem trzymając świécę, margrabia na dolę klęcząc przed nią. — Jeżeli Romeo i Julija za piérwszém widzeniem się na balu maskowym, mogli sobie tyle wzajemnych uczynić przysiąg; wyobrazić sobie łatwo można, jakie były gesta i piérwsze spojrzenia dwojga kochanków, którzy sobie tylko w myśli też przysięgi wyrażać mogli. — Wprawdzie zabawną jest rzeczą, z wysokiémi abcasami wdrapywać się na wiérzch powozu; przyznać także potrzeba, że mężczyzna w jedwabnych pączochach i haftowanych sukniach dość śmiesznym się wydaje, gdy skacze z wiérzchu powozu do okna; ale zakochani na nic nie zważają. Tym sposobem margrabia de Maubray był w pokoju Kamilli, stanął przed nią w postawie najgłębszego uszanowania, jak gdyby ją był w Tuileryjach napotkał. Gdyby był umiał mówić, może byłby jéj powiedział: że oszukawszy czujnosć swojego guwernera, przekupił służącego, który mu pozwolił noc pod jéj oknami przepędzić, że po skończonéj operze szedł krok w krok za nią, że jedno jéj spojrzenie całe jego życie zmieniło, że ją tylko kocha na tym świecie, i nie pragnie innego szczęścia nad to, żeby jéj mógł swoje serce, rękę i majątek ofiarować. Wszystko to było na jego ustach napisane, ale wzajemny ukłon Kamilli dał mu wyraźnie poznać, że takie opowiadanie byłoby zbyteczne, i że od chwili, jak jest przy niéj, mało jéj na tém zależy, dowiedziéć się, jakim sposobem do niéj się dostał.

Pomimo śmiałości, jakiéj dowiódł dla dostania się do kochanki, był pan de Maubray bardzo skromny; po przywitaniu Kamilli nie wiedział jak się jéj ma zapytać: czy go zechce za męża? Ona nie rozumiała nic z tego, co się jéj objaśnić starał. Wtém obaczył na stole tablicę z imieniem »Kamilla«, wziął kredę, i napisał obok swoje imię »Franciszek«.

»Co to ma znaczyć?« zawołał raptownie głos gruby. »Coto za *rendez-vous?* Jakim

sposobem pan tu wszedłeś, i czego tu chcesz?« Byłto wuj Giraud, który wszedł w szlafroku, i z gniewem tak przemówił. »A to piękne rzeczy,« rzekł daléj, »podobne istoty sądzą, że nic łatwiejszego, jak wleźć oknem do pokoju. Jakiż jest jego zamiar? psuć powóz, łamać wszystko, szkodę czynić, a potém? — zhańbić familiję — i — ten mnie także nie rozumié!« zawołał po chwili w rozpaczy. — Ale margrabia dobywszy spieszno ołówka i kawałek papiéru, napisał ten list: »Kocham tę pannę; chcę się z nią ożenić; mam dwadzieścia tysięcy liwrów dochodu. — Chcesz mi pan tę młodą damę dać za żonę?«

»Tylko ludzie, którzy nie gadają, robią tak prędko interesa!« odpowiedział pan Giraud. — »Ale,« po chwili odpisał, »ja nie jestem jéj ojcem, jestem tylko wujem jéj matki. Potrzeba ojca prosić o pozwolenie!«

VIII.

Nie łatwą było rzeczą otrzymać od pana des Arcis zezwolenie na podobne małżeństwo.

Pan des Arcis, oddawszy się największéj boleści, prowadził we wsi swojéj samotne życie. Codziennie chodził na grób swojéj żony i tam kilka godzin przepędzał w smutku, zatopiony w wspomnieniach przeszłości. — Tam napotkał go jednego poranku wuj Giraud. Zaraz nazajutrz po owéj nocy, w któréj zeszedł kochanków, wyjechał był z swoją wnuczką z Paryża do Mans, i umieścił Kamillę w swoim domu, aby tam oczekiwała końca dalszych jego starań. — Margrabia, uwiadomiony o téj podróży przyrzekł być wiernym, i spełnić dane przyrzeczenie. — Od dawnego czasu straciwszy rodziców, i będąc panem swojego majątku, nie miał żadnéj przeszkody w dopełnieniu swojego zamiaru. — Zacny Giraud chciał chętnie być pośrednikiem, i starać się o połączenie tych młodych ludzi.

Na piérwsze słowa wuja okazał pan des Arcis największe zdziwienie, a gdy mu ów opowiadał o ich piérwszém zejściu się na operze, ową nocną scenę, a nadewszystko szczególniejsze oświadczenie małżeństwa; nie mógł pojąć, aby podobny romans mógł być rzeczywisty. Ale znaglony do odpowiedzi, rzekł do pana Giraud: »I czegożto żądasz? — połączenia dwóch równie nieszczęśliwych istot? Niedosyć nieszczęścia miéć w naszéj familii to biédne stworzenie, którego jestem ojcem? mamże go jeszcze powiększać, dając jéj takiegoż męża? — Czyż to mojém przeznaczeniem, aby mnie otaczały istoty, które świat odtrąca, jako przedmioty litości i pogardy? Mamże życie moje śród samych głuchoniemych przepędzać? Mamże nazwisko moje zostawić nieszczęśliwym, którzy je ani wymówić, ani napisać nie będą mogli?«

»Wymówić je nie potrafią,« powiedział Giraud, »ale co podpisać, będą umieli niezawodnie.«

»Podpisać?« zawołał pan des Arcis. »Czy zmysły tracisz?«

»Wiém, co mówię,« odpowiedział Giraud, »i ten młodzieniec umié pisać — zaręczam ci, że nawet bardzo dobrze i prędko pisze, jak tego dowodzi to oświadczenie małżeństwa, które mam w kieszeni.«

Tu pokazał papiér, na którym margrabia de Maubray tych kilka słów napisał, którémi wprawdzie lakonicznie ale dość jasno, życzenie swoje wyraził.

»Cóż to znaczy?« zawołał pan des Arcis. »Od któregożto czasu głuchoniemi pisać umieją? Cóżto za bajeczka?«

»Na mój honor!« odpowiedział Giraud. »Jak się to dzieje, tego nie pojmuję. Zdaje się, że niedawno zrobiono odkrycie, za pomocą którego wszyscy tacy ludzie rozumieją się i wybornie z sobą się bawią. Słyszałem że jakiś *abbé,* którego nazwiska nie pamiętam, wynalazł ten sposób.«

»Jestże to prawdą?«

»Najistotniejszą prawdą, margrabia jest bogatym i przystojnym, jest szlachcicem i dobrym człowiekiem; ręczę za niego. — Pomnij tylko, co uczynisz z biédną Kamillą? Nie gada, to prawda, ale ona temu nie winna. Cóż z niéj będzie? Panną wiecznie zostać nie może. Oto się zdarza człowiek, który ją kocha, daj mu ją;

rozumieją się jak dzieci, i pojmują siebie, chociaż nie paplą wiele językiem. — Margrabia umie czytać i pisać, a Kamilla się tego z łatwością nauczy.»

Po chwili rzekł pan des Arcis: »Córka moja miałaby umieć wyrażać myśli swoje? Czy to podobna?»

W téj chwili wszedł proboszcz poblizkiéj wioski do ogrodu, zaproszony do zamku na obiad. Po przywitaniu pan des Arcis zapytał go żywo: „Księże proboszczu, czytujesz gazety, a może słyszałeś co o duchownym, który przedsięwziął głuchoniemych wychowywać?»

Nieszczęściem, zapytany był dobrym, uczciwym, ale bardzo mało wiedzącym człowiekiem, który wszystkie przesądy swojego wieku podzielał, i rzekł: „Zapewne wielmożny pan chcesz mówić o *l'abbé* de l'Epée?»

»Tak, tak!» przerwał wuj Giraud. »To właśnie jego nazwisko, które z pamięci mi wypadło.»

»Podług wieści, jakie miałem,» rzekł ksiądz proboszcz, „ten pan de l'Epée — który zresztą zdaje się być najszacowniejszym człowiekiem — nie osiągnął zamierzonego celu.»

»Jakto?» zapytał pan Giraud.

„Słyszałem,» mówił ksiądz, „że czyniono chwalebne usiłowania, lecz nadaremnie; i mam powód wierzyć, że zamiar, głuchoniemego czytać nauczyć, jest urojoną chymerą!»

»Ale ja na własne oczy widziałem!» zawołał pan Giraud. „Widziałem, jak głuchoniemy pisał!»

»Nie chcę się panu sprzeciwiać,» rzekł ksiądz, „ale osoby uczone, a nawet doktorowie fakultetu w Paryżu, zapewniali mnie, że to jest niepodobieństwem!»

„Co człowiek widzi, to nie może być niepodobieństwem;» odpowiedział niecierpliwy Giraud; „pięćdziesiąt mil jechałem z tym listem w kieszeni, aby go panu des Arcis pokazać; oto jest! — Rzecz jasna jak słońce!»

Pan des Arcis przechadzał się długo w niepewności, pomyślił sobie: „Jeżeli Giraud ma słuszność, a ja odmówię, postąpię przeciw mojéj powinności, a nawet występek popełnię. — Jakimże prawem mógłbym się temu opiérać? Cóżby jéj matka była na to powiedziała?» I spojrzał na grób swojéj żony; potém wziął pana Giraud pod rękę, odprowadził na stronę, i rzekł zcicha: »Czyń, jak ci się podoba!»

»Dobrze,» odpowiedział Giraud. »Ona jest u mnie, pojadę po nią, i zaraz ją tu przywiozę!»

„Przenigdy!» zawołał ojciec. »Będziemy się wspólnie starali o jéj szczęście, ale widziéć jéj nie mogę!»

Franciszek i Kamilla w kościele *des petits pères* w Paryżu ślub brali. Gubernator i wuj Giraud byli jedynémi świadkami. — Gdy ksiądz zwyczajne czynił im zapytania, margrabia, wiedząc jak się ma znachodzić, zawsze w sam czas głową dawał potwierdzenie, ale Kamilla nic wcale nie wiedząc, patrzyła tylko na męża, i toż samo co on robiła.

Margrabia miał wielki dóm w Paryżu; po ślubie wsiadła Kamilla do spaniałego powozu, któremu się z dziecinną ciekawością przypatrywała. — Pałac, do którego ją wprowadzono, nie w mniejsze wprawiał ją zadziwienie. Pokoje, konie, ludzie, co wszystko do niéj należyć miało, dziwném ją przejmowało uczuciem. — Zresztą wesele odprawiono w cichości — na skromnéj wieczerzy zakończyła się cała uroczystość.

IX.

Kamilla została matką. Dnia jednego, kiedy pan des Arcis podług zwyczaju poszedł do parku, i w smutku zatopiony stał przy grobie swojéj żony, przyniósł mu służący nieznaną ręką pisany list, który był szczególną mieszaniną ukształcenia i niewiadomości. Byłto list Kamilli następnéj treści: »O mój ojcze! Nie gadam ustami, ale ręką, a on, który jest moim nauczycielem, nauczył mnie już tyle, że mogę pisać do ciebie. Oddał mnie do nauki tejże saméj osobie, która jego wychowała, bo ci wiadomo, że on długo był takim jak ja niemotą. — Nauka z trudnością mi przyszła. Naprzód uczą rozmawiać palcami, potém uczą figur pisanych, a są rozmaite, które bojaźń, gniew i wszystkie uczucia wyrażają. Długo trwa, nim się wszystko pojmie, a jeszcze dłużéj, gdy zamiast figur słowa kłaść potrzeba, ale przecież nauczyć się można jak widzisz. *L'abbé* de l'Epée, jest najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem w świecie. — Mam bardzo piękne dziécię — nie śmiałam ci o niém pisać, póki się nie dowiém, czy nie będzie takie jak my. — Ale nie mogłam się oprzéć radości pisania do ciebie — pomimo naszéj obawy, bo mój mąż i ja jesteśmy bardzo o to niespokojni — zwłaszcza, że sami słyszéć nie możemy, dla tego czekamy z największą niecierpliwością chwili, kiedy syn mój zacznie otwiérać usta i poruszać niémi. — Pytaliśmy się doktorów, czy dziécię dwojga tak nieszczęśliwych osób jak my, nie będzie także nieme? odpowiedzieli: że to być może, ale my w to wierzyć nie śmiemy. — Bądź pewnym, kochany ojcze, że bardzo często myślę o matce, bo ona była pewnie równie jak ja niespokojną. Ty kochałeś ją bardzo, tak jak ja dziécię moje kocham; ale ja byłam dla ciebie tylko przedmiotem nieukontentowania. — Teraz, kiedy czytać i pisać umiém, pojmuję, co matka moja wycierpiéć musiała. — Jeżeli chcesz być dobrym dla mnie, kochany ojcze, odwiedź nas w Paryżu, będzie to wielką przyczyną do radości i wdzięczności twojéj córki, która cię zawsze kocha i poważa. — Kamilla.»

Po przeczytaniu tego listu, wahał się długo pan des Arcis. — Z początku nie chciał uwierzyć temu, ażeby to Kamilla sama pisała; ale tak jasnemu do-

wodowi musiał dać wiarę. Cóż miał czynić? Jeżeliby wypełnił prośbę córki i pojechał do Paryża, wystawiał się na nową boleść. Dziecię, którego nie znał, będące jednak synem jego córki, mogło mu sprowadzić cierpienia przeszłości; Kamilla mogłaby mu przywieść Cecylije na pamięć, a jednak czasami podzielał niespokojność młodej matki, czekającej na przemówienie swojego dziecięcia.

„Musisz tam jechać!" rzekł wuj Giraud, zapytany od niego o radę. „Ja to małżeństwo skojarzyłem, i ręczę że będzie trwałe. — Niech to co powiém, nie będzie wyrzutem, ale czyż nie dosyć, żeś twoją żonę na balu opuścił, co biédaczka życiem przepłaciła? Opuszczasz teraz i córkę? Sądzisz że dosyć na tém, kiedy się smucisz, ona pragnie twojego przyjazdu; jedźmyż więc. Ja pojadę z tobą, i to mnie tylko boli, że mnie nie wzywała."

„Słusznie mówi!" pomyślał pan des Arcis. „Niepotrzebnie najlepszéj z żon okrutną sprawiłem boleść; dopuściłem jéj umrzéć straszliwą śmiercią, od któréj ją mogłem zachować. Choćbym teraz widokiem nieszczęścia mojéj córki miał być za to ukaranym, narzekać nie powinienem Jakkolwiek bolesnym będzie dla mnie ten widok, muszę się na niego odważyć. Na tę karę zasłużyłem. Niech mnie córka za to ukarze, żem matkę opuścił. — Pojadę do Paryża."

* * *

W pięknym buduarze przepysznego hotelu w *Faubourg St. Germain*, znajdowała się młoda żona z swoim mężem, gdy ojciec i wuj przybyli. Na stoliku leżały rysunki, miedzioryty i książki. Mąż czytał, żona haftowała, a dziécię igrało na dywanie.— Margrabia powstał, Kamilla pospieszyła do ojca, który ją czule uściskał ze łzami w oczach, ale spojrzenia jego zwróciły się znowu na dziécię.— Mimo woli czuł tenże sam wstręt, który dawniéj dla nieszczęścia Kamilli uczuwał, na widok téj istoty, która przekleństwo rodziców odziedziczyć miała; a gdy mu dziécię podawano, odstąpił wołając: „Jeszcze jeden niemy!" Kamilla nie słysząc go, zrozumiała. Wzięła dziécię na ręce, a trzymając go przed panem des Arcis, przyłożyła palec do maleńkich ustek i potarła je zwolna, jakgdyby wzywając do mówienia. Dziécię dało się kilka minut prosić, potém wyrzekło wyraźnie te słowa, które matka wprzód nauczyć go kazała: „Dzień dobry, mój dziaduniu!"

»Otóż widzisz, że Bóg zawsze wszystko przebacza!" rzekł pan Giraud.

O czyszczeniu powietrza.

Na zgromadzeniu Towarzystwa architektów angielskich dnia 8go czerwca r. b. odczytano bardzo ciekawą rozprawę lekarza Toynbee „O czyszczeniu powietrza"— rozpoczynającą się wykazaniem istnienia nadzwyczajnie wielkiéj ilości zarodów chorób w rodzie ludzkim, które jedynie z niedostatecznego czyszczenia powietrza pochodzą, a przeto należytém jego odświeżaniem zupełnie wytępionémi być mogą. Mianowicie trzy najzjadliwsze i najpowszechniejsze choroby, jako to: febra, szkrofuły i suchoty, bywają zwykle skutkiem złéj wentylacyi, a na dowód tego twierdzenia, przytoczył autor mnóstwo przykładów z własnéj długoletniéj praktyki, i opisał dokładnie w jaki sposób pomienione choroby się rozwijają. I tak np. okazał dr. Toynbee, iż wszyscy, którzy przypadkiem do znanéj z swego zepsutego powietrza „czarnéj pieczary" na wyspie Kalkucie się dostaną, a natychmiast się nie uduszą, niewątpliwie wkrótce potem na zgniłą febrę umierają. Że wszystkich osób, które na suchoty giną, należą niezawodnie dwie trzecie części do klasy ludzi pracujących w domach, podczas gdy ludzie pracujący na świéżém powietrzu, ledwie jedną trzecią część całéj liczby stanowią. A stosunek ten wzmaga się témbardziéj, im ciaśniejsze są miejsca, w których owi po domach zatrudnieni ludzie pracują. Dr. Guy dowiódł, iż ta choroba zdarza się częściéj w wyższych piątrach wielkich budynków fabrycznych, gdzie powietrze jeszcze bardziéj zepsute jest niż w dolnych. Mieszkańcy miast takich, które wystawione są na przeciąg wiatru, mają mniejszą skłonność do suchot, niż ludzie mieszkający w miastach zasłonionych od wiatru. *Wola* (gardłowy narost), na którą ludność wybrzeży Rodanu choruje, niezaprzeczenie z panującéj tamże stagnacyi powietrza pochodzi. Znane są przykłady, iż w niektórych szkołach większa część dzieci szkrofułów dostawała, i że im najpilniejsza dyjeta, ciepła odzież i tym podobne środki nie pomagały. Skoro jednak należyte czyszczenie powietrze w uczelniach zaprowadzono, ustała natychmiast taż choroba. Ten sam skutek okazał się także w zoologicznych ogrodach w Regents-Park, w Londynie, odkąd tamże nowych, powietrzu przystępnych klatek używać zaczęto. Że zaś zepsute powietrze tak szkodliwie na organizm działa, nie zdziwimy się bynajmniéj, gdy zważymy, ile powietrza człowiek w każdéj chwili spożywa. Podług obliczenia dokt. Toynbee, potrzebuje każda osoba do respiracyi i transpiracyi w jednéj minucie dziesięć stóp kubicznych czyli masę powietrza, będącą mniejwięcéj dwa razy tak wielką, jak wielka jest samaż postać człowieka. Za pomocą respiracyi czyli wdechania powietrza zostaje oddzielony węglik z pór ciała ludzkiego, których jest wszystkich 170 milijonów; za pomocą transpiracyi, czyli wyziewu, oddziela się nieustannie takzwany niewidomy pot, który wraz z wychodzącą z płuc parą, co godzina dwie uncyje płynu czyni. Zatém 500 w kościele zgromadzonych ludzi udzielają powietrzu w przeciągu dwóch godzin 15 galonów wody, która, jeżli nie oddalona za pomocą

wentylacyi, każdy przedmiot wilgocią przesiąka, a będąc napowrót, wraz z zepsutém przez nią powietrzem wdéchaną, coraz nieczystszą i szkodliwszą się staje. Również szkodliwém dla powietrza i żyjących niém ludzi jest używanie lamp, oile że gaz i oléj, udzielając powietrzu wiele niezdrowych, wilgotnych części, takowe bardzo psują.— Następnie uczynił autor uwagę, iż dotąd zupełnie prawie na to nie zważano, aby mieszkania ludzkie dostateczną ilością czystego powietrza zaopatrzone były. Zakładano miasta w takiém położeniu, które wręcz dla zdrowia jest szkodliwe; niechże jeszcze tak poza obrębem świeżego powietrza zbudowane miasto w zbytnią liczbę domów urośnie, a mieszkanie tam staje się ciągłą jawną lub ukrytą chorobą. -- W ostatniéj części rozprawy swojéj roztrząsa dr. Toynbee środki skutecznego odświéżania powietrza. W tym względzie, mówi autor, należałoby iść za przykładem, jaki natura nam wskazuje, i naśladować w mieszkaniach ile możności, zbawienne zmiany powietrza, które rozmaity obrót wiatru sprawia. Główną przy tém zasadą jest: sprowadzać obfity zapas powietrza miernéj temperatury, starać się o łatwy odchód powietrza zepsutego, wpuszczać powietrze w wysokości 3 do 4 stóp nad poziomem, i regularnie je ogrzewać. — Roztrząsając rozmaite sposoby ogrzéwania powietrza, wytknął dr. Toynbee tę główną wadę, iż zwykle wpuszcza się wązkim otworem bardzo małą ilość zbytecznie rozgrzanego powietrza, które już swoją przesadną temperaturą resztę powietrza psuje. Zastanawiał się téż autor nad opalaniem mieszkań, i wykazał, że w skutek złéj budowy pieców i kominów, tudzież niestosownego paliwa, dym zupełnie strawionym być nie może, wentylacyja niepodobną się staje, a większa część gorąca w czeluści się marnuje. Należy się tedy spodziéwać z czasem zupełnéj reformy w budowie naszych mieszkań, gdzie ludzie tak długo tém zatrutém powietrzem żyli i chorzeli, że im się wreszcie wydaje, jakoby inaczéj być już nie mogło.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 37y i zawiéra: 1) Psia sałata (*leontodon taraxacum*) jako roślina pastewna. 2) Słów kilka K. J. Turowskiego o dziełku: Postrzeżenia, uwagi i skazówki gospodarstwa ziemskiego w królestwie polskiém, szczególne ustanowienia posad rolniczych, dzierżawy wieczystéj, chowu zwierząt domowych i budynków gospodarskich tyczące się, przez Jakóba Schredera. 3) Ulepszenie w uprawie lnu. 4) Jeszcze niektóre uwagi nad chowem świń. 5) Pod jakim warunkiem dziczki leśne można używać w sadownictwie? 6) Wiadomości handl. i przemysłowe.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* na miesiąc wrzesień zawiera: 1) O dozorowaniu lasów prywatnych p. C. A. Dokończenie. 2) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez A. A. Kosińskiego. Dokończenie. 3) Dowód ze zbiegu poszlak (*indicia*) w ogólności, rozebrał K. B. 4) Dworek na Kopcu, powiastka z r. 1720, przez J. A. Starzę. 5) Kronika literacka — w któréj między innémi zasługuje na uwagę krytyka Gramatyki języka polskiego, przez J. N. Deszkiewicza, napisana przez J. A. Czajkowskiego. 6) Rozmaitości. — Kronika zagraniczna. — Kronika biblijograficzna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Z Wilna: J. J. Kraszewski zamierzył wydać: Słownik obejmujący wszystkich artystów polskich dawniejszych i spółczesnych, z wiadomością o ich dziełach, także miłośników sztuki i opisy zbiorów krajowych, słowem, alfabetycznym porządkiem ułożony spis materyjałów do historyi sztuki w Polsce i dawnych jéj prowincyjach — i drogą Tygodnika Petersburskiego wezwał posiadających wiadomości o artystach polskich, aby mu ich udzielić raczyli. Prosi także uczonych biblijografów, posiadających zbiory obrazów i sztychów, o przysłanie not, a żyjących artystów o szczegóły, choćby nawet i suche, dotyczące ich życia. — Słownik ten ma zawiérać: 1) Krótką wiadomość o malarzach, rysownikach, snycerzach, architektach, najdawniejszych i spółczesnych, z wymienieniem ich dzieł i miejsc, gdzie się znajdują. 2) Wiadomość o lubownikach sztuki i zbiorach artystycznych. 3) Znaki, cyfry, monogramata i cechy, po których prace ich rozpoznać się dają. 4) Znakomitszych artystów portrety. — Podobnież i w Warszawie F. M. Sobieszczański ma zamiar wydać: »Słownik artystów i architektów polskich.«

Bawełna miast prochu do strzelania. Bez wątpienia, żyjemy w wieku cudów— techniki. Nowym tego dowodem jest wynalazek profesora Schönbein w Bazylei, który za pomocą pewnego przyrządzenia chemicznego nadaje surowéj bawełnie tę własność, iż ona podobnie jak proch do strzélania, tylko o wiele jeszcze gwałtowniéj, eksploduje. Maleńki tercerolik, nabity taką bawełną zamiast prochu, wytrąca kulę tak silnie, iż ta najprzód dębową deskę, mającą półtrzecia cala grubości, a daléj jeszcze drugą, jednocalową deskę sosnową przebija, podczas gdy kula wystrzelona z tegoż samego tercerolu, nabitego równąż wagą zwykłego prochu, nawet téj jednocalowéj sosnowéj deski przebić nie mogła. Odrobinka bawełny była w stanie kulę, ważącą półtora łóta, unieść w odległość 200 kroków, a i wtedy jeszcze wbiła się taż kula na dwa cale w głąb pnia sosnowego. Przyrządzona tak bawełna ma oprócz tego tę własność, iż nawet w wodzie umoczona, skoro tylko wyschnie, w tym samym stopniu co wprzódy, jest zapalną.

Okręty i łodzie na kolei żelaznéj. Od Elbląga na południe ku Polsce, ciągnie się kraina pełna niedostępnych jezior i wieczystych borów, poprzecinana mnogiémi kanałami, na których głównie drzewo budulcowe i do palenia, w różne strony rozwożą. Służące ku temu łodzie muszą nieraz pod górę płynąć, a tam gdzie zbyt wielkie podnoszenie się poziomu zanadto wiele szluzby wymagało, zakładają od ostatniéj szluzy aż do najbliższéj następnéj, żelazną kolej dla łodzi, zaczynającą się w ostatniéj szluzie. Skoro łódź tam przybędzie, spuszczają wodę, łódź osiada na wagonie, który już w szynach stoi. Zaczém puszcza się w ruch machina parowa, ciągnąca wagon z łodzią do najbliższéj szluzy. Tam spływa łódź znowuż na wodzie, i pędzi zwykłym sposobem daléj. Za pomocą podobnych, lecz na większy rozmiar założonych kolei żelaznych dla okrętów, chce Anglik Acland połączyć Mersey z Manchestrem, a francuzki architekt Tasché wypracował i przedłożył ministrom królowéj Wiktoryi dokładny plan połączenia portów angielskich lądem za pomocą żórawi, mostów zwodzonych i kolei żelaznych. Najokazalszem zaś przedsięwzięciem tego rodzaju jest plan francuzkiego kapitana od inżynijeryi, Guillemon. Ten zamierzył założyć wojenną, pod zarządem marynarki zostającą kolej żelazną, któraby środkiem Francyi porty Tulonu, Brestu i Cherbourgu łączyła, i po któréjby cała marynarka francuzka

w przeciągu 5u do 6u dni od jednego końca Francyi do drugiego, parowe jazdy odbywać mogła. Koszta tego przedsięwzięcia mają razem ledwie tyle wynosić, ile czwarta cześć fortyfikacyi Paryża kosztuje.

O piegach mówi dziennik angielski »*New Monthly Magazine*« w następujący sposób: »Pewną jest rzeczą, że kwiaty są poezyją, którą pan Bóg na ziemi naszéj napisał; jeżeli tedy małe plamki na tulipanach, goździkach, kamelijach, georginijach, uważamy za upiększenie, jakże mogą takie kropeczki i plamki szpecić twarz ładnéj dziewczyny, która jest najpiękniejszym kwiatem na ziemi, i prawdziwym obrazem bóstwa. Szekspir powiedział:

Those be rubbies fairy favours,
In those freckles live their savours.

(Piegi rubinom podobne, zdobią twarzyczki nadobne.) A więc zamiast oszpecenia, uważajmy je jako znamiona miłośne, wyciśnięte ognistemi całunkami słonecznego bożka Apollina; sąto pewnie piérwsze całusy, któremi nadobne dziewczę okryte zostało. Prawdziwie, twarzyczka dziewicy z piegami, jest jak niebo pełne prześlicznych gwiazd, albo jak grządka pełna róż i lilij. Jeżeli w dawnéj mitologii mówiono: Apollo kochał się w Dafnie i w innych, tedy znaczyło to, iż miały piegi.« Cóż nasze czytelniczki na to?

Z Berlina donoszą o okropnym wypadku, który się tamże dnia 29go sierpnia wydarzył, i, jak w istocie swoją straszliwą dziwacznością najdziksze sceny fantastycznych romansów Hofmanowskich przechodzi, tak też nadzwyczajne wrażenie w całéj stolicy sprawił. Wieczorem około 7éj godziny, w jednéj z najludniejszych ulic berlińskich, takzwanéj ulicy królewskiéj, na płaskim dachu hotelu »pod następcą tronu«, okazuje się młody mężczyzna, który śmiejąc się i podskakując, zaczął dla rozrywki rozrzucać pieniądze pomiędzy ludzi, naprzód talary, dalej luidory, wreszcie całe garście srebra i złota. Oczywiście napełniła się wkrótce cała ulica tłumami ludzi, a mianowicie dzieci, które śród głośnych okrzyków radości całemu widowisku się przypatrywały. Co chwila wzrastał ścisk na ulicy, wzmagała się wrzawa, nieznajomy na dachu podskakiwał coraz szaleniéj i sypał coraz hojniej pieniędzmi, gdy wtém przybiéra scena wcale odmienny widok, a dawca tych dobrodziejstw pokazuje zadziwionemu pospólstwu dwa — pistolety; z jednego z tych strzéla natychmiast pomiędzy ludzi, i rani śmiertelnie małego chłopca, który we krwi na ziemię pada, drugi — podnosi wysoko w górę. Tu wznosi się wielki krzyk trwogi i oburzenia pomiędzy ludźmi, wszystkie okna napełniają się widzami, kilku odważnych ludzi biegą na dach, chcąc pochwycić szaleńca. Tymczasem skoki jego stają się coraz gwałtowniejsze i niebezpieczniejsze, a gdy właśnie ująć go miano, przełazi obłąkany przez poręcze dachu i staje na saméj krawędzi cztéropiątrowéj wysokości. W téj chwili zdało się, jakby nagle odzyskał przytomność umysłu, gdyż chciał się zatrzymać o poręcze, lecz nadaremnie — dostał zawrotu, przechybnął się i padł na bruk nieżywy i okropnie zgruchotany.— Ma to być świéżo przybyły, bezżenny kupiec z N., imieniem K. W liście, który także z dachu był zrzucił, uskarżał się nieszczęśliwy w wyrazach bez ładu na niesprawiedliwość trybunałów. Jak słychać, zostawił on testament.

Sposób obronienia się od psów wściekłych. Z powodu wydarzających się przypadków, pochodzących z wścieklizny psów, czytaliśmy następujący sposób ratowania, który mamy za właściwy podać do wiadomości. W razie gdy człowiek postrzeże psa wściekłego, do niego pędem zmierzającego, a nie jest w stanie ani w miejsce bezpieczne schronić się, ani też nié ma w rękach dobrego narzędzia, którémby mógł się obronić, nie tracąc przytomności, winiea czémprędzéj podnieść z ziemi jakąkolwiek bryłkę lub kamień, i takowy na psa cisnąć w ten sposób, aby bryłka, część cegły lub kamyk, mógł paść za psa o kilkanaście kroków; skutkiem czego, pies wściekły nie będzie w téj chwili natarczywie na człowieka napadać, lecz owszem zwróciwszy się, uchwyci za bryłkę, lub kamyk, zacznie go gryść z okropną zajadłością tak dalece, że nie tylko zostawi czas człowiekowi do ucieczki, ale nadto, częstokroć zmordowany ostatniém wysileniem zajadłości, legnie na ziemi na czas niejaki. Gdyby za piérwszym razem ciśnięcia człowiek nie zdołał uciec, ani też schować się, podobny środek, bez przerwy cofając się w miejsce bezpieczne, powtarzać winien dotąd, dopóki pies wściekły gonić go będzie usiłował. *(Kur. War.)*

Rozruch koci. Wkrótce po osadzeniu Napoleona na wyspie św. Heleny, rozrzucił ktoś po okolicy miasta Chester następne drukowane ogłoszenie: »Kilka znakomitych rodzin ma zamiar udać się na wyspę św. Heleny, a ponieważ na téj wyspie niesłychane mnóstwo szczurów się znajduje, tedy widzi się rząd spowodowanym użyć wszelkich środków do wytępienia onych. Na mocy tego, obowiązał się niżéjpodpisany zakupić w najkrótszym czasie jaknajwiększą ilość kotów, i ofiaruje za każdego rosłego, tucznego kocura groszy 16, za kotkę w średnim wieku groszy 10, a za małe kociątka, które już biegać i z kłąbkiem nici igrać umią, groszy 6. Zgłosić się w Chester i t. d.« — We dwa dni po tém uwiadomieniu, o wyznaczonéj godzinie, zaczęły się z całéj okolicy tłumy starych bab, dzieci, dziéwcząt z kotami i kocięłami do Chester schodzić. Około wieczora przyniesiono do miasta przeszło 3000 dorosłych kotów. Miauczały wszystkie przeraźliwie w workach, podczas gdy właściciele i właścicielki na jednéj wskazanéj sobie uliczczce, nadejścia podpisanego urzędnika oczekiwali. Uliczka była bardzo ciasna, zgniecione w workach koty jęły coraz żałośniéj miauczeć, baby i dzieci nie omieszkały także gwarnym wrzaskiem przyłączać się do tego koncertu, a temu wszystkiemu wtórzyło wycie tysiąca psów i szczekanie piesków. Kilka najswarliwszych bab, widząc się potrącane przez swoje sąsiadki, zrzuciło worki na ziemię, i nuż za łby i na piąstuki! Na taki hałas zbiegły się roje uliczników i porozwiązywały worki, z których razem 3000 rozjadłych kotów wyskoczyło. Dopiérożto krzyk! wrzask! baby biorą się do uliczników! psy do kotów! Istny dzień sądny! Wszystko co żyje, zbiegło się do okien. Koty, uciekając przed psami, rzuciły się na balkony, przez okna, do pokojów, tłukły szyby, wywracały filiżanki, herbatniczki, uganiały się jak szalone po domach, a psy tuż za niémi! Na ostatek cała męska ludność miasta Chester musiała stanąć pod bronią. Zabijano i psy i koty. Osobliwie na kotach wywarto złość swoję! Przeszło 2000 maciusiów padło trupem na placu. Byłato prawdziwa rzeź św. Bartłomieja na koty. Co nie poległo trupem, schroniło się na dachy lub za miasto, zostawiając wszakże za sobą mnóstwo podrapanych rąk i twarzy i kupy potłuczonéj porcelany.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.